

Zielone ludziki Camerona

7 marca 2015

Wysłanie na Ukrainę brytyjskich instruktorów wojskowych to symboliczny gest, którego skutki będą realne i groźne. Koncert mocarstw wybrzmiewa coraz bardziej złowrogie nuty.

Tydzień w polityce to bardzo długi okres. A w płynnej rzeczywistości w czasie międzynarodowego napięcia i toczącej się kampanii wyborczej to niemal wieczność. Analizy i komentarze wydrukowane rano tracą aktualność wieczorem albo już nawet w południe. Taki mamy klimat. Nie ucichła jeszcze dobrze krytyka brytyjskich mediów, ekspertów i byłych wojskowych pod adresem 10 Downing Street za to, że nie „liczy się w najpoważniejszym kryzysie w Europie od 50 lat”, a premier David Cameron wyciągnął międzynarodowego asa z rękawa. I wszystkich zaskoczył. Zamiast spodziewanej „wspaniałej izolacji” – natychmiastowa interwencja. Z dyplomatycznym hukiem i przytupem. W amerykańskim stylu. I z taką samą gracją oraz subtelnością.

10 Downing Street oświadczyło, że Wielka Brytania wyśle na Ukrainę 75 wojskowych instruktorów. Brytyjskie zielone ludziki mają nie angażować się w działania wojenne i operować daleko od linii frontu, ale przekaz Londynu jest jasny – Wielka Brytania uważa naruszenie integralności Ukrainy za nieakceptowalne. I wkracza na międzynarodową arenę. Oczywiście niewielki brytyjski kontyngent nie zachwieje równowagą sił w konflikcie na Ukrainie, ale jest mocnym politycznym gestem. A te, w rozgrywce z Kremlem, mają znaczenie. Pytanie, na które jak na razie nie znamy odpowiedzi: czy ta symboliczna pomoc to preludium do nowej zimnej wojny z Rosją, czy też może jedynie odpowiedź Camerona na krytykę o absencję Zjednoczonego Królestwa w koncercie wielkich mocarstw? Czy to poważna strategiczna decyzja, czy może przedwyborcza PR-owska sztuczka, aby urwać trochę procentów głosów i pokazać premiera jako męża stanu? Jeśli to drugie, to nie ma powodów do obaw.

Jeśli to pierwsze, to oznacza, że prowincjonalny konflikt zamienia się w wojnę o znaczeniu ponadlokalnym. Z wszelkimi tego konsekwencjami.

WIETNAM W DONBASIE

Do Brytyjskiej inicjatywy dołączyli szybko inni. Francja przypominała, że dysponuje bronią atomową „umożliwiającą obronę i będącą podstawą do prowadzenia polityki międzynarodowej”. Nie tylko środkami dyplomatycznymi. Także, jak zawsze, gotowa walczyć za wolność waszą i naszą Polska, zamierza, tak jak Zjednoczone Królestwo, wysłać na Ukrainę wojskowych instruktorów. Amerykanie woleliby sprzedać Ukraińcom broń, ale jak na razie muszą się ograniczyć jedynie do wysłania w ten rejon „doradców”. Robi się jednak groźnie. Wysłanie „doradców” wojskowych do państwa toczącego wojnę zwykle wojny nie wygasza. Najczęściej „doradcy” eskalują konflikt. Są forpocztą angażujących się w wojnę wojsk sojuszników.

W 1954 r. prezydent USA Dwight Eisenhower zdecydował o wysłaniu do Wietnamu „kilkuset doradców wojskowych” wspieranych przez grupę pracowników CIA. Uznał, że nie należy przywiązywać się do traktatów genewskich przewidujących stworzenie po przeprowadzeniu demokratycznych wyborów jednego Wietnamu. Bał się, że wybory mogą wygrać popularni nacjonalistyczni komuniści z Północy, którzy opanują cały kraj. Dlatego stworzył doktrynę „Dwóch Wietnamów”. Północ oddano ówczesnemu Viet-Minhowi i geopolitycznym wpływom chińsko-radzieckim. Utworzona po południowej stronie 17. równoleżnika Republika Wietnamu miała być wzorcem zachodniej demokracji w Azji Południowo-Wschodniej. Z systemem parlamentarno-gabinetowym i liberalną, wolnorynkową gospodarką. Nad prawidłowym przebiegiem demokratyzowania Południa czuwać mieli właśnie „doradcy”. Dowodzeni przez pułkownika Edwarda Lansdale’a, wsławionego pogromem niepodległościowej partyzantki na Filipinach.

Początkowo Republika Wietnamu szybko upodabniała się do zachodnich demokracji. Zachodnie media pisały o tamtejszym „cudzie gospodarczym” i „politycznych reformach”. Szybko okazało się jednak, że za demokratycznymi fasadami kryją się oligarchiczne rządy rodziny premiera wspieranego przez Amerykanów. Na co dzień w kraju szalała korupcja. Wszelka zachodnia pomoc gospodarcza trafiała do klientów klanu prezydenta i jego braci. W efekcie propółtnocna, lewicowa partyzantka odnosiła coraz większe sukcesy. Dlatego też kolejny prezydent – John Kennedy – zwiększał kontyngent doradców. W 1960 r. było ich dziewięćset. W 1961 – 3 tys., a w 1963 – prawie 17 tys. Ponieważ skorumpowani południowowietnamscy oligarchowie zamienili „gospodarczy cud” na coraz bardziej odczuwalny tam głód, biedę i beznadzieję, prezydent Kennedy zgodził się na zaproponowany mu przez „doradców” wojskowy pucz w bratnim Wietnamie. Trzy miesiące później nastąpił kolejny pucz generalski, a potem jeszcze następne.

W roku 1964 było w Wietnamie ponad 23 tys. już nieudających „doradców” żołnierzy, w 1965 ponad 185 tys., w 1966 ponad 400 tys., a w 1968 prawie pół miliona. Efekt? Prawie pół miliona zabitych w Wietnamie Południowym. 60 tys. martwych Amerykanów i 300 tys. rannych. Straty ludności cywilnej Republiki Wietnamu sięgały zaś 2 milionów zabitych. Czy premier Wielkiej Brytanii podąży śladami Eisenhowera?

MINA CAMERONA

Nadzieja na pokój i uspokojenie sytuacji w tym, że Cameron blefuje i gra pod publikę. Tak jak w 2008 r., kiedy to jeszcze jako lider opozycji groził palcem Rosji po inwazji na Gruzję.

– Jeśli teraz pozwolimy na niepohamowaną agresję, w przyszłości będziemy mieli większe problemy (...) Rosja wysłała jasny komunikat do krajów byłego Związku Radzieckiego, że mogą się cieszyć jedynie ograniczoną suwerennością i nie działać przeciwko interesom Moskwy – mówił wówczas.

Większość komentatorów machnęła na te deklaracje ręką. Jastrząb Cameron niespecjalnie przekonywał. Głównie dlatego, że lider torysów na arenie międzynarodowej nie czuje się zbyt pewnie. I nie wypada w tym kontekście najlepiej. To nie jest jego domena. Dziś jednak, będąc premierem, ma możliwości i arsenał środków do wzmocnienia agresywnej retoryki. Obecność brytyjskich wojskowych na Ukrainie podnosi stawkę, otwiera drogę dla Amerykanów i przekreśla dyplomatyczny wysiłek Angeli Merkel. Bo jednostronny akt Londynu stawia w niewygodnej pozycji pozostałe europejskie kraje.

Europa w tym konflikcie za wszelką cenę stara się zachować jedność i prowadzić spójną politykę. Teraz Bruksela, a zwłaszcza Berlin mają dylemat. Czy iść z Brytyjczykami, ryzykując pogorszenie stosunków z Moskwą, czy też odciąć się od anglosaskiej polityki pięści i przyznać się do tego, że kooperacja i wspólne stanowisko Unii to jedynie zaklinanie rzeczywistości? Tą jedną decyzją premier Wielkiej Brytanii posadził Angelę Merkel na minie. Bo żadna z opcji nie jest dobra. Pokazanie, że Unia jest podzielona, to wizerunkowa porażka, na którą Berlin nie może sobie pozwolić. Aktywna pomoc Ukrainie grozi zaś eskalacją konfliktu i jawną wojną z Rosją. Bo jasne jest, że tak jak ostra retoryka i sankcje nie powstrzymały prezydenta Putina przed coraz większym udziałem wojsk rosyjskich na Ukrainie, tak nie powstrzyma go grupa wojskowych doradców. Ani broń, ani militarne, oficjalne zaangażowanie NATO-wskich jednostek. Wydaje się, że liderzy polityczni stracili kontrolę nad sytuacją i stają się zakładnikami wydarzeń. I to po obu stronach sporu.

Moskwa nie może odpuścić Ukrainy ze względu na wielkomocarstwowe aspiracje, kompleksy i karmioną propagandą opinię publiczną, ale dokładnie z tego samego powodu nie odpuści też Zachód. Na Ukrainie zderzyły się mocarstwowe ambicje Zachodu, który od upadku Związku Radzieckiego żyje w utopii rozszerzania swojego imperium, i Rosji, która swoje imperium chce odbudować. Sens tych działań jest wątpliwy, ale

niewątpliwie sytuacja jest niezwykle napięta i skłania do pytań o nowy kształt globalnego ładu. Ten, który mamy, przestaje działać, ten, który zaczyna działać, nie ma legitymizacji. Konflikt na dużą skalę wydaje się nieunikniony.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)